Nr. 2. 13. Marca 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 475¼.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

II.

Siciński.

(Ciąg dalszy.)

Z razu myślałem, że poseł Upitski w samej rzeczy wydobył się z czarnych ram konterfektu, aby choć raz w rok ogrzać się przy ognisku domowem i spróbować tego ciepła, które łączy kółko rodzinne w zgodzie i wzajemnej miłości. A może była w tem ręka sprawiedliwego Boga, który złych ludzi karze czasem uczuciem szlachetnem. Nie ma bowiem nic boleśniejszego dla duszy zepsutej jak wspomnienie kilku chwil, w których doznała czystego wzruszenia. Bo też dziwnem wydało mi się, dlaczego ś. p. poseł Upitski tak natarczywie pragnął od Boleszyckiego kącika przy tem ognisku domowem, do którego rzucił zarzewie tylu kłótni i niezgód? Mnie się zdaje, że pokutujący duch Sicińskiego za karę wymówił sobie to miejsce w kółku rodzinnem, aby patrząc na zgodę i miłość rodzin naszych, tem większą czuł skruchę za swój niecny postępek, który na długie wieki porozrywał ogniwa narodu.

Tak sobie w pierwszym moim przestrachu myślałem. Wierzę bowiem, że jest nad nami ręka sprawiedliwego sędziego, którego wyroki niezbadane są dla nas.

Spojrzałem jeszcze raz na siedzącego przy kominku Sicińskiego. Był on jak dwie krople wody podobny do konterfektu ś. p. posła Upitskiego, który dziwnym sposobem został w czarnych swoich ramach. Wydał mi się jednak nieco bledszym i więcej ponurym. Z razu nawet tak mi wyglądał, jakby był tylko cieniem siedzącego na krześle.

Odmówiłem w duchu ›pod Twoją obronę‹ i ślubowałem sobie, postawić figurę na granicy gruntów Boleszczyckich, aby wierni za duszę nieboszczyka mogli westchnąć do Boga. I właśnie jeszcze to i owo po głowie mi chodziło, gdy Siciński wstał z krzesła a chodząc po komnacie, tak głośno stukał po podłodze, jak każdy inny śmiertelny, który na wiosenne nasze błota zaopatrzył się w grube buty.

Już mnie to trochę zbiło z konceptu, bo trudnoż wierzyć, aby nieboszczyk tak był przezorny i wybierając się z tamtego świata, wziął z sobą odpowiednią garderobę. Z resztą każdy duch ma być tylko cieniem zmarłego. Moja nieboszczka babka, Rokicka z domu, przeszła w dzień zaduszny przez cały legion nieboszczyków, żadnego nie doznawszy oporu. Czuła tylko, że lekki wietrzyk szeleścił jej szatą. Otóż zacząłem bliżej przypatrywać się mniemanemu Sicińskiemu. I w samej rzeczy, coraz bardziej zacząłem powątpiewać o istotnem zjawieniu się ś. p. posła Upitskiego.

Nadzwyczajne jednak podobieństwo było między konterfektem a owym zagadkowym człowiekiem. Ta sama twarz napojona żółcią i wykrzywiona uśmiechem szyderskim. Te same błędne, niestałe oczy, które wiecznie czegoś szukały. Czoło zachmurzone i brwi ściągnięte okazywały, że tam wewnątrz mieszka ból i zgryzota, które wykrzywiają usta do szatańskiego uśmiechu. Ubiorem tylko różnili się od siebie. Na konterfekcie był żółty kontusz i biały żupan, a ów gość zagadkowy miał na sobie jakąś szarą kurtę i buty wyżej kolan. Na krześle leżał ciemny płaszcz, z którego strumieniem sączyła się woda.

Widząc to wszystko przyszedłem do tego przekonania, że Siciński w czarnych ramach a gość chodzący po komnacie mogą być dwa różne indywidua, a może nawet obaj nic o sobie nie wiedzą. Zagadką jednak dla mnie było, zkąd to uderzające podobieństwo na ich twarzach, i dla czego pan Jędrzej tak dziwnie i z taką bojaźnią podejmował swego gościa. Miałaż to być jakaś tajemnica domowa? A może było to znanem w całej okolicy, tylko ja, nowicyusz w tych stronach, o tem nic nie wiedziałem. Wprawdzie od śmierci mego ojca, a było to już wtedy lat piętnaście, nie byłem w moim majątku, bo człowiek po szerokim świecie gonił za jakąś lepszą nadzieją, ale przecież ten i ów byłby mi coś o tym zaklętym duchu powiedział, gdyby w samej rzeczy miał w Boleszczycach rezydować.

Tak myśląc sobie, zasunąłem okienko, i całą tę sprawę z ś. p. posłem Upitskim czy raczej z udatną jego kopią odłożyłem do jutra. I już myślałem o wygodnej pierzynce, gdy nagle drzwi do szarej komnaty zaskrzypiały, i wyraźnie zasłyszałem głos pana Jędrzeja.

Jakkolwiek teraz wielka zbierała mnie ciekawość okienko odsunąć i do szarej komnaty popatrzyć, uważając jednak podobne wściubianie nosa w cudze sprawy za niegodne człowieka poczciwego, wziąłem Złoty ołtarzyk, który zawsze mam w kieszeni, i zacząłem szukać w rubryceli św. patronki mojej żony,

aby w tym dniu uczynić jej jaką niespodziankę. I chociaż cały zajęty byłem czytaniem imion Świętych, mimo mej woli musiałem jednak słuchać rozmowy, którą pan Jędrzej z swoim gościem prowadził.

Ledwo pan Jędrzej drzwi za sobą był zamknął, zawołał nieznajomy szorstkim głosem:

— Kto i czego?

— Jestem tutaj gospodarzem, zaczął pan Jędrzej—

— Wszak wiesz, że ja ciebie tutaj nie uznaję, przerwał mu szybko nieznajomy.

— Czas-by już był, panie Krzysztofie, mówił dalej pan Jędrzej, abyś we mnie uznał gospodarza i życzliwego ci brata.

— Brata? krzyknął z szyderskim śmiechem nieznajomy, mówisz brata?... ha, ha, ha! Ja brata?... Człowieku, rzekł po chwili i słychać było, że kilka kroków naprzód postąpił, słuchaj człowieku! Na całym świecie, na ziemi i na morzu, na żadnej z tych miliona gwiazd, które tam świecą, nie ma istoty, któraby mi bratem była! ha, ha, ha! Wszak ja sam jeden na świecie jak palec, tylko w tym dniu...

— Już dosyć tego Krzysztofie, przerwał pan Jędrzej błagającym głosem.

Snać niemiło uderzył o serce nieznajomego ten głos poczciwego staruszka, bo jakoś opryskliwie w tył odskoczył i zawołał:

— Idź precz!

— Tyś przeklął moją rodzinę! mówił dalej z boleścią pan Jędrzej

— A tyś mi przysiągł, że w tym dniu raz do roku pozwolisz mi samemu przepędzić noc przy tym kominku przy którym siedział nieboszczyk mój ojciec. Zejdź mi z oczu!

— Krzysztofie! zawołał pan Jędrzej z wielkiem wzruszeniem. Tyś w szale namiętności wyrzekł przekleństwo, a ono ciąży na mojej rodzinie. W spokojne kółko rodzinne rzuciłeś jad niezgody i przychodzisz co roku, aby z szyderstwem na ustach usiąść na chwilę przy tem samem ognisku domowem, koło którego zbiera się moja rodzina. Krzysztofie, uznaj żeś źle uczynił, a rodzina moja przyjmie cię jak brata. I będziesz razem z nią siedział przy tym samym kominku, do którego przecież choć raz do roku wzdychasz.

Okropny, przerażający śmiech rozległ się po ścianach komnaty. Mówią, że z śmiechu można poznać duszę człowieka. Zaiste, brzydka musiała być dusza tego szczególnego człowieka, bo też śmiech jego rozdzierał serce.

— I ty prawisz mi dzisiaj sentymenta, zawołał śmiejąc się ciągle, dzisiaj mówisz do mnie jak baranek, a przecież twój ojciec wydarł nam nasze gniazdo rodzinne, a moja rodzina rozeszła się w świat jak rój bez matki!... Proszę cię, odejdź i zostaw mnie samego. Wszak taki był układ między nami!

— I dotrzymałem go dotąd.

— Dla czegoż dzisiaj łamiesz nasz układ?

— Bo czuję się starym, mocno starym. Schodząc do grobu chciałbym pokój i zgodę nad sobą zostawić.

Tutaj nastąpiła w rozmowie długa pauza. Serce mi biło głośno, pragnąłem całą duszą, aby ci, jak się zdawało, nieprzyjaźni ludzie, podali sobie rękę i w jedną złączyli się rodzinę. Nawet samo niebo sprzyjało tej myśli. I jakby w wielkiem było oczekiwaniu, ucichło w tej chwili a na ziemię skrzepłą wyjrzało kilka gwiazd bożych, aby zbłąkanym pielgrzymom prawe drogi oświecić. Czarne chmury rozsuwały się zwolna, nawet szalony wicher stanął śród drogi, aby nie mieszać tej świętej ciszy, w której zwykł Bóg przemawiać do serca człowieka.

Z całą naturą i ja wstrzymałem oddech i z wielkiem upragnieniem czekałem pierwszego słowa zgody. Ale snać zły duch znowu zwyciężył, bo nieznajomy ozwał się szorstkim głosem:

— Ty chcesz zgody, oj wiem ja dobrze o co wam chodzi!

I rozśmiał się znowu tak przeraźliwie, iż mógłbym przysiągnąć, że to nie był śmiech ludzki ale istny śmiech szatana. Jakoś i niebo usłyszało śmiech ten i zasępiło się w tej chwili. Czarna, złowroga chmura zasłoniła boże gwiazdy, wicher uderzył w konary lip starych, a nagła błyskawica rozlała po ziemi jakieś światło piekielne.

— Ty chcesz zgody, mówił dalej nieznajomy, chcesz mi dać kawałek łaskawego chleba przy twoim kominku a tymczasem pragniecie śmierci mojej, bo Złota góra przypadła wam do smaku.

— Krzysztofie, przerwał mu skwapliwie pan Jędrzej, nie obrażaj poczciwego serca, które ci jest tak rade jak bratu!

— O znam ja to wasze dzisiejsze braterstwo! odfuknął nieznajomy — ha, ha, ha! Braterstwo w dzisiejszych czasach! To słowo braterstwo stało się dzisiaj spekulacyą, artykułem handlu i frymarki i nic więcej... Słuchaj Jędrzeju, gdybyś otwarcie mi powiedział: Oto chcę twojej Złotej góry, która ma wyborny grunt żytni, ma lasy zasobne, i łąki nieszpetne, tobym pomyślał sobie: Ten człowiek jest niegodziwy, ale przynajmniej nie bierze maski obłudnej gdy mówi. Nacóż naturę ludzką podnosić do czegoś, czem ona nie jest i nigdy nie była?

— Ubolewam Krzysztofie nad sercem twojem, które dziwnym sposobem tak zziębniało, że już dzisiaj w nic nie wierzy! Rozpatrz się między ludźmi, a przekonasz się, że im wyrządzasz wielką krzywdę!

Znowu rozśmiał się nieznajomy, aż ściany zadrżały i zaczął się po komnacie przechodzić. Snać dobrze wytłumaczył sobie pan Jędrzej to milczenie swego gościa bo dalej rzecz prowadził:

— Krzysztofie, wiem ja zkąd ci się wzięła ta choroba serca. Ojciec twój odumarł cię wcześnie, zapłacona piastunka wychowała cię — tyś nie żył w kółku rodzinnem!

Nieznajomy stanął nagle, ale nic nie odpowiedział. Pan Jędrzej z coraz większem wzruszeniem mówił dalej:

— Zaledwie skończyłeś nauki w obcym domu, zaraz rozpocząłeś zatargi ze mną, wodziłeś mnie po sądach, zarzucałeś mi nieprawość posiadania Boleszczyc — a przecież mam dokumenta, że mój ojciec...

— Milcz, krzyknął w gorączkowem jakiemś uczuciu nieznajomy, milcz jeźli chcesz, abym szanował ten kącik, który mieści kilka dziecięcych, głupich wspomnień moich!

— Wróć do tych dziecięcych, jak je nazywasz głupich wspomień twoich, i od nich rozpocznij żywot nowy, zawołał w zapale pan Jędrzej, a dusza twoja uspokoi się.

— Ja pokoju nie pragnę, odparł nieznajomy chodząc szybko po komnacie, a jeźli się lękam śmierci to tylko dla tego, że tam w grobie trzeba leżyć spokojnie. Najprzykrzejsze sprawia na mnie wrażenie, gdy ksiądz nad umarłym spiewa: *Requiescat in pace!...*

— Otóż to cała choroba twoja — tyś duch wiecznej negacyi. Gdybyś był wielkim człowiekiem w narodzie, mógłbyś w jednej chwili zniszczyć to wszystko, nad czem wieki pracowały!... Mieliśmy takich ludzi w przeszłości naszej i dla tego dzisiaj, biada nam!...

Na to rozśmiał się potomek Sicińskiego z jakąś szatańską rozkoszą. Zdawało się, że niezmiernie ucieszył się tem uznaniem swojej potęgi demonicznej i radby nawet patrzał jak drugi Neron na łunę gorejących zagród ojczystych.

— Już to w narodzie nie mam dzisiaj co robić, zawołał szyderskim głosem, sejmu nie rozpędzę, ale że twoją rodzinę rozpędzę na wszystkie cztery wiatry, tak jak to wtedy ci powiedziałem, gdyś nademną tryumfował wyrokiem sądowym, za to ci ręczę gardłem!

Nastąpiła jakaś pauza złowroga. Pan Jędrzej westchnął, a nieprzyjaciel jego domowy rzucił się na krzesło, aż zatrzeszczało. Obaj milczeli, na kominku pryskał ogień — a na dworze było coraz widniej, coraz więcej wypogadzało się niebo.

Przytłumionym głosem, jakby mówił sam do siebie, ozwał się znowu potomek Sicińskiego:

— Boleszczyckich tylko bieda i nieszczęścia skupiały przy ognisku domowem. Szczęście i dostatek rozpraszały ich po świecie. Ha, ha, ha! Szczęście i dostatek!... Jędrzeju! zawołał głośniej wstając z krzesła, już mi się sprzykrzyła ta wieczna niezgoda, chcę się poprawić!

— Krzysztofie! krzyknął staruszek.

— Zawołaj świadków. —

— Cóż chcesz zrobić? —

— Zapisać wam Złotą górę!

— Jakto cały twój majątek?

— Wszystko co mam! odparł potomek Sicińskiego tak dziwnym głosem, że mi włosy na głowie stanęły, chociaż to miał być uroczysty akt zgody w rodzinie.

Tak dziwne uczucie opanowało serce moje, że otworzyłem okno, aby chłodniejszego zaczerpnąć powietrza. Jakoś duszno było mi w mojej izdebce. Owe zwady domowe przypomniały mi przeszłość naszą, a serce moje zabolało na to wspomnienie.

I gdy tak właśnie to i owo w głowie rozbieram, słyszę nagle jakąś znaną mi melodyą, a przytem brząkanie na cytrze. Nadstawiłem ucha, słuchałem chwilę i przypomniałem sobie, że to jest melodya tej samej piosenki, którą pan Sylwan spiewał przy klawikorcie, a którą moja żonka tak wielce się zachwycała.

Coś mnie teraz gwałtem ciągnęło do ogrodu. I tak zasłyszana rozmowa między panem Jędrzejem i domowym jego nieprzyjacielem jakoś mnie zalterowała, i niebo majowe pięknie wypogodziło się po burzy. Niechcąc więc dłużej nieproszonym być świadkiem tajemnic domowych, otworzyłem z cicha drzwi izdebki i wymknąłem się długą, lipami ocienioną aleą do ogrodu.

III.

Bez rodziny.

Wszystkie okna dworu Boleszczyckiego, które wychodziły do ogrodu, były jasno oświecone. Nie było to jeszcze tak późno, bo rodzina rozeszła się dzisiejszego wieczora wcześniej jak zwykle, a to z powodu owego zagadkowego gościa.

Noc była prześliczna. Chmury zsunęły się na samą krawędź nieba, a księżyc w pełni tak jasno świecił, że można było na sto kroków rozpoznać człowieka. Wiatr ustał zupełnie, tylko krople deszczu spadały z listka na listek i tworzyły jakąś przecudną melodyą, przyjemniejszą dla mego serca od ułańskiej spiewki pana Sylwana, którą tam gdzieś w altanie pod oknem fraucymeru wyśpiewywał. W powietrzu był przyjemny zapach kwiatu, którym okryły się wisznie, grusze i jabłonie.

Przeszedłem ciemną aleą raz i drugi, odmówiłem trzy razy Zdrowaś Marya na intencyą zgody rodzinnej moich sąsiadów, gdy nagle w bocznej uliczce obaczyłem jakieś postacie kobiece. Niechcąc im przerywać nocnego spaceru a panu Sylwanowi jego piosnek ułańskich, przeszedłem na drugą stronę ogrodu, na szeroką, piaskiem wysypaną ścieżkę.

— Wszelki duch chwali pana Boga! krzyknąłem nagle, spotkawszy się na zakręcie ścieżki z jakąś długą, czarną figurą!

— *Laudetur*, odparł ksiądz Ignacy, który właśnie powracał ze dworu do swojej plebanii.

— Ja myślałem, że waszmość już spisz jak w najlepsze! zacząłem rozmowę.

Ksiądz Ignacy ścisnął mnie za rękę i żartobliwym rzekł tonem:

— Kapłan, mościdobrodzieju, i stróż nocny to jedną chodzą drogą. Jeden pilnuje naszego mienia, a drugi sumienia.

— Toż sumieniom naszym nie grozi tutaj żadne niebezpieczeństwo, odrzekłem i zamyśliłem się nieco, przypomniawszy sobie szarą komnatę.

— Pokusa do złego zawsze się znajdzie, odparł ksiądz Ignacy tym samym żartobliwym tonem i umilkł na chwilę, aby słuchać melodyi pana Sylwana. Ale jakoś nie podobały mu się trele ułana, bo pogardliwie machnął ręką a zwróciwszy się do mnie rzekł:

— Strzeżonego pan Bóg strzeże... Dzisiaj długo jeszcze we dworze czuwać będą, bo to wilia św. Floryana. Dotychczas bawiłem u pani Jędrzejowej i czytałem z nią modlitwy św. Augustyna. Biedna matrona ma sumienie zbyt tkliwe, o którem wiele ładnych rzeczy napisał św. Augustyn.

Przyszło mi na myśl, że rodzina ta musi mieć jakąś tajemnicę i że od księdza Ignacego będę mógł coś dowiedzieć się o owym nieprzyjacielu domowym, który w wilią św. Floryana wypędza kółko rodzinne od domowego ogniska. Wziąwszy więc staruszka pod rękę, zaproponowałem mu, że go do plebanii odprowadzę, dodając, że i tak chcę użyć przechadzki. Zgodził się na to chętnie ksiądz Ignacy, a wyszedłszy na drogę polową zacząłem tak do niego:

— Już to człowiek nie powinien wściubiać tam nosa, gdzie nie należy, a nawet grzechem jest częstokroć ciekawość zbytnia. Gdy jednak przypadkiem coś do ucha zaleci, co na bliźnich jakieś niedobre rzuca światło, to lepiej wtedy dowiedzieć się o rzeczy na gruncie, niżeli z pozorów na kogoś wydać wyrok krzywdzący.

Ksiądz Ignacy uśmiechnął się i żartobliwie rzekł na to:

— Nie wiem, o czem waszmość myślisz, czy o drobnych lub wielkich rzeczach.

— Jakto? zapytałem.

— Czy o panu Sylwanie?...

— O panu Sylwanie?... A cóż mi do niego! Niech sobie zdrów spiewa, jeżeli życie nie ma dla niego nic więcej nad piosnkę ułańską!

Podobała się księdzu Ignacemu moja odpowiedź, bo z tonu żartobliwego przeszedł w poważny, a ścisnąwszy mnie za rękę, rzekł:

— Od drobnych, na pozór niewinnych rzeczy poczynają się wszystkie nasze nieszczęścia.

— Słuszne to zdanie księże Ignacy, odpowiedziałem. Nie od razu to musiało przyjść do takiej niezgody w rodzinie Boleszczyckich, jak to mimowoli w mojej izdebce, która graniczy z szarą komnatą, zasłyszałem.

Tym sposobem zwróciłem rozmowę na przedmiot, który mnie wyłącznie w tej chwili zajmował. Zrozumiał to ksiądz Ignacy, bo spojrzawszy na mnie, milczał czas niejaki, jakby sobie coś w głowie układał, a westchnąwszy rzekł do mnie:

— To waszmość myślisz o panu Krzysztofie?

— A nie inaczej, odpowiedziałem.

Po niejakim czasie namysłu, ozwał się ksiądz Ignacy:

— Historya o panu Krzysztofie jest tutaj mniej więcej wszystkim wiadoma. Każdy jednak opowiada ją sobie inaczej. Jedni nazywają go szulerem, drudzy człowiekiem bez sumienia, pieniaczem, to znowu pijakiem, a są nawet i tacy, którzy utrzymują, że na swoim odosobnionym majątku w górach karpackich miewa konszachty z opryszkami. Stary Stefan, mój karbowy wierzy, że razu jednego podczas wielkiej burzy wleciał w niego djabeł i go opętał.

— Czy to być może? zapytałem zdziwiony.

Ksiądz Ignacy uśmiechnął się na to i rzekł:

— A jużci może pan Bóg dopuścić, że zły duch opęta grzesznego człowieka, aby tym sposobem pokutował za wykroczenia swoje. Głębiej jednak wnikać powinien wzrok kapłana jak wiara starego Stefana.

— Jakto, toż innej jesteś od Stefana wiary, księże Ignacy? zawołałem zdziwiony.

— Jednej i tej samej, odparł ksiądz Ignacy, tylko inaczej od Stefana wyobrażam sobie tego złego ducha. Mój karbowy bowiem utrzymuje, że ten zły duch, który wszedł w pana Krzysztofa, musi mieć łeb psi, parę baranich rogów, czerwony kusy frak i kopyta końskie. Inaczej nie pojmuje go stary Stefan, chociaż w całej wsi on jeden tylko umie ministranturę i wtóruje mi, gdy spiewam *Te Deum laudamus.* A nawet opowiada, że razu jednego widział na własne oczy tego złego ducha, gdy we śnie wylazł z ust panu Krzysztofowi, aby tymczasem jakąś pilną załatwić sprawę z kolegami, którzy do niego byli przyszli.

Ksiądz Ignacy spoczął trochę, bo właśnie przechodziliśmy koło figury, przed którą potrzeba było odmówić Zdrowaś Marya. Poczem podjął znowu:

— Jakkolwiekbądź mój karbowy tego złego ducha sobie wyobraża, który opętał pana Krzysztofa, i jakkolwiekbądź inni ludzie postępki tego człowieka sobie tłumaczą, we wszystkiem jednak jest ta prawda na dnie, że pan Krzysztof na nieprawe wszedł drogi. Ale najciekawsza z tego wszystkiego, co go właściwie na te złe drogi zaprowadziło!

— Najprzód powiedz mi księże Ignacy, jakie powinowactwo jest między tym panem Krzysztofem a konterfektem w czarnych ramach, rzekłem do mego towarzysza.

— Konterfekt w czarnych ramach przedstawia kogoś z rodziny Sicińskich.

— Pan Jędrzej mówił mi, że to sam ś. p. poseł Upitski.

— Może i to być, wtrącił ksiądz Ignacy tonem żałobliwym.

— Przecież ten wyraz twarzy, te usta zakąszone szyderczo — odparłem.

— O tak — więcej może widzimy to w naszej wyobraźni jak na płótnie. Ale mniejsza o to. Dosyć że to jest jakiś Siciński, bo babkę pana Jędrzeja rodzi Sicińska.

— Czy sądzisz księże Ignacy, zapytałem nawiasem, że duch praojca może przejść w jego wnuki?

— *In dubiis libertas* — odparł staruszek, i ja trzymam się tego. Wprawdzie niezbadane są wyroki boskie, jakoteż tajemniczą jest potęga tradycyi rodowej która cnoty i zbrodnie zaszczepia z pokolenia w pokolenie, ja jednak prostym moim rozumem inaczej tłumaczę sobie nieprawości pana Krzysztofa. A nawet znam ciekawe szczegóły z jego życia, bo kilkakrotnie tentowaliśmy z panem Jędrzejem nawrócić tę zbłąkaną duszę, której dobry grunt jeszcze dotychczas nie zatarł się do szczętu.

Ksiądz Ignacy zamilkł tutaj jakby układał sobie historyą o panu Krzysztofie. Nieprzerywając mu wcale, czekałem z niecierpliwością pierwszego jego słowa. Nawet treli pana Sylwana jakoś już nie słyszałem i byłem pewny, że lekkoduch pewnie spi jak w najlepsze.

— O Krzysztofie rozmawialiśmy często z panem Jędrzejem, zaczął ksiądz Ignacy, i zgodziliśmy się w tem zdaniu, że wszystkich jego nieprawości jest jedna i ta sama przyczyna.

— I jakaż to przyczyna? zapytałem.

— Wychował się bez rodziny i żyje bez rodziny! odparł staruszek.

— Jakto? zawołałem — toż człowiek, który nie ogrzał swego serca na łonie rodziny, który nie ma własnej rodziny, musi być już złym dla tego?

— Nie panie Michale tak koniecznie być nie może, ale tak jest najczęściej.

— A cóż, naprzykład waszmość, księże Ignacy?

— Człowiek żyje miłością. Nasze serce musi coś ukochać, musi przylgnąć do czegoś i zróść z tem w jedno życie. Inaczej jak w pustym dworze zagnieździ się ptactwo plugawe i będzie postrachem dla ludzi. Kapłan ukochał bliźnich swoich, a służba około nich ogrzewa go i zasila. Wyschłe serce samoluba jest największem nieszczęściem.

Uczułem prawdę tych słów i przypomniały mi się one dnie samotne, które spędziłem bez wzajemnego serca, i żal mi ich było, że je tak marnie straciłem. Tymczasem prawił ksiądz Ignacy dalej:

— W kółku rodzinnem uczymy się czuć to ciepło serca i duszy, które w późniejszym wieku staje się już naszą potrzebą. I szukamy tego ciepła w uścisku przyjaciela, w jakiejś pięknej, szlachetnej myśli, wreszcie wracamy do naszych pierwszych wrażeń przy kominku domowym, i otaczamy się kółkiem własnej rodziny, aby na młodsze pokolenie przenieść to wszystko, co nas dotąd ogrzewało i pokrzepiało. Odbierz więc sercu to wszystko, czem ono będzie? Oto namiętności owładną je, tłuc się będzie w piersi człowieka jak tygrys w klatce żelaznej i póty nie spocznie, póki samo siebie nie zabije!

Ucieszyłem się w duchu, usłyszawszy te słowa księdza Ignacego. Mniemałem bowiem, żem wszedł już na dobrą drogę, wybrawszy sobie towarzyszkę życia. Inaczej jednak nieba zrządziły, ale o tem innym razem.

— Boleszczyccy, mówił dalej ksiądz Ignacy, posiadali z dawien dawna ten majątek, który dzisiaj należy do pana Jędrzeja. Były jednak czasy, w których musieli go innym ustąpić. Działo się to zazwyczaj wtedy, gdy Boleszczyckim dobrze się powodziło. Wtedy darli się między sobą, dzielili się ojcowizną i pojedyńczo ją tracili. Dopiero bieda i nędza skupiały ich znowu razem. Znaleźli się znowu przy kominku rodzinnego domku.

— Takto bywało zawsze u nas, dorzuciłem, wadziliśmy się i rozdzierali, tylko wielkie nieszczęścia skupiały nas znowu.

— Już to nas wyszczególnia od innych narodów, prawił dalej ksiądz Ignacy, że kochamy nasz domek rodzinny. Spojrzyj w historyą rodzin naszych, a obaczysz, że wnuki wracali do majątków swoich dziadów, wracali pracą i poprawą żywota. Ci zaś którzy nie mogli dójść do rodzinnego swego ogniska, przez tęsknotę za niem popadli w błędy i krzywemi poszli drogami. Niejeden potomek znakomitej rodziny, wala się dzisiaj na śmiecisku życia — dla czego?... Oto losy wyrugowały go z domku rodzinnego, bez którego nie ma pokoju w duszy. I tak stało się z Boleszczyckimi. Pradziad pana Jędrzeja byłto dumny i bogaty szlachcic. Miał różne zachcenia pańskie i strwonił cały majątek. Wnuk jego a ojciec pana Jędrzeja przyszedł znowu skrzętną pracą do mienia i nie spoczął póki Boleszczyc nie nabył i nie rozniecił ognia na dziadowskim kominku i nie uczcił pamiątek rodzinnych. Majątek ten odkupił od ojca pana Krzysztofa, który był stryjecznym bratem jego żony.

— Cóż skłoniło tego szlachcica do sprzedania majątku? wtrąciłem nawiasem.

— Boleszczycki hojnie mu zapłacił, a ojciec Krzysztofa był chciwy pieniędzy. A nawet mówią, że te pieniądze gdzieś zakopał i w waryactwie zeszedł z tego świata. Lecz zdaje się, że tak nie było, bo po śmierci ojca miał Krzysztof znaczne pieniądze, a nawet niedawnemi czasy nabył obszerny choć dosyć górzysty majątek Złotą górę.

— Cóż go właściwie naprowadziło na złe drogi? zapytałem.

— Najprzód gdy był małem dzieckiem umarła mu matka. Obca piastunka nosiła go na ręku i karmiła. Ojciec zajęty robieniem grosza, rzadko patrzał na niego. Krzysztof nie zaznał nigdy uścisku matki, nie uczuł pocałowania ojcowskiego. Czasem tylko, gdy była burza na świecie, siadał ojciec przy ciepłym kominku w szarej komnacie, i brał go z nudów na kolana obok ulubionego wyżła. I dziwne to serce ludzkie. Po wszelkich przebytych brudach życia, wraca pan Krzysztof pamięcią do tych kilku chwil, które przepędził na łonie rodzicielskiem. On sam nie wie, jakim sposobem to się dzieje, a przecież coś go ciągnie do tego miejsca, do tych wspomnień rodzinnych. Nawet w końcu, nie mogąc się oprzeć temu dziwnemu uczuciu, po latach zatargów i niezgody uczynił z panem Jędrzejem ten układ szczególny, że w wilią św. Floryana (ojciec jego nazywał się Floryan), którytо dzień

szczególne na nim czyni wrażenie, przyjeżdża do Boleszczyc i samotnie przepędza noc przy kominku w szarej komnacie. Wymówił sobie tylko aby nikt z domowych nie przychodził wtedy do niego.

— Pan Jędrzej wspominał coś o przekleństwie, które rzucił na jego rodzinę — wtrąciłem znowu.

— Zaraz, tylko proszę cierpliwości. Nie od razu robi się człowiek tak złym, aby swoich bliźnich przeklinał. Otóż sprzedawszy Boleszczyce, umarł wkrótce ojciec pana Krzysztofa, a że był z rodu Sicińskich, to zaraz ludzie różnie o tej śmierci sobie mówili. Tak to nieubłaganą jest pamięć ludzka, przez którą Bóg wszechmocny karze złych w odległe wieki!... Krzysztof pozostał sam jeden na świecie. Obcy ludzie wychowali go, obcy uczyli go za pieniądze. Byłto chłopiec udatnej postaci o ślicznych czarnych włosach i oczach błękitnych. Serce jego nie było wcale złe, owszem okazywał czasami nawet szlachetne popędy. Ale nie było to serce, które dojrzewa w łagodnem cieple kółka rodzinnego, w uściskach matki lub na łonie ojca. Krzysztof miał serce gorące, burzliwe — dusza jego lubiła dysonanse wichrów i burzy. Patrząc na tego chłopca widać było że jakiś wulkan wre tam w piersi, który niszczy i pali ale nie ogrzewa i nie pokrzepia.

Ksiądz Ignacy spoczął, a widząc że go z wytężoną słucham ciekawością, mówił dalej:

Przygody sierocego żywota rozdrażniły duszę biednego sierotę. Popychano go i szturkano, naigrawano się z niego, bo nikt się za nim nie ujął, nikt nie utulił płaczącego, nie pielęgnował gdy był chory. Tym sposobem rozlewała się żółć po żyłach sieroty i wsiąkała zwolna w serce, które przecież mogło także świat ukochać!... Do tego przyczyniły się koleje młodych lat jego, na które dzisiaj tak mało zważamy, a które przecież podnoszą albo upadlają na zawsze duszę naszą.

Ksiądz Ignacy zamyślił się przytem i zdawało mi się, że bogobojny staruszek cofnął się w dnie swojej młodości. Nie przerywałem mu tego zamyślenia, bo wiem już dzisiaj, czem ono jest dla serc naszych. Po niejakim czasie zaczął znowu:

— Młode serce rzuca się na oślep i marzy o aniołach tam, gdzie ich nigdy nie było. Pan Krzysztof był ładny chłopiec. Okazano mu tu i owdzie, że się podobał, pozwolono mu zbliżyć sie, ściśnięto go nieznacznie za rękę — a gorący młodzieniec przeleżał noc bezsenną, marząc o najwznioślejszych uczuciach. Nieszczęście chciało, że te uczucia właśnie go zawiodły. Kilka kropli żółci spłynęło znowu w jego serce sieroce. Celował dowcipem, śmiał się z wszystkiego co święte, bawił się i hulał, jakto zazwyczaj bywa, gdy w sercu jest próżnia. Ale próżni tej niczem nie wypełnisz. Otóż i panu Krzysztofowi nie wystarczyło to wszystko dla jego dzikiej, gorącej duszy. „Ożeń się, powiedział mu ktoś z przyjaciół, a milszem będzie ci życie.“ Uwierzył Krzysztof w tę niebezpieczną receptę i zaczął się oglądać po świecie. Nad Sanem, w białym, szlacheckim dworku ujrzał pannę Adelę. Przed dworek zajechał czwórką w krakowskich chomątach. Bardzo to podobało się rodzicom panny, przyjęto i ugoszczono go. Po kilku tygodniach wymieniono pierścionki i na całym bożym świecie nie było czulszej, stosowniejszej pary jak Adela i Krzysztof. Tak mówili rodzice, tak mówiły sąsiadki. Ale przypadkiem gdzieś u wód zagranicznych zajrzało jakieś niemieckie grafiątko w oczka pięknej Adeli, a Krzysztofowi odesłano pęk listów i pierścionek. Rozsądna panna, mówili znowu sąsiedzi i sąsiadki, a o panu Krzysztofie opowiadano, że jest pijak i szuler, bo się gdzieś tam zgrał do koszuli a nawet upił się. Do duszy, do serca nikt sierocie nie zaglądnął.

Coraz ciekawszą stawała się dla mnie historya pana Krzysztofa. Widząc to ksiądz Ignacy, mówił dalej w ten sposób:

— „Od tego czasu minęło kilka lat, a pan Krzysztof hulał po świecie, jakby dyabła miał w sobie. Szukał burd, awantur, wszędzie był pierwszym i ostatnim. Śmiał się z wiary w dobre uczucia ludzkie, a śmiech ten przyrastał zwolna do jego pięknej twarzy, i wykrzywiał ją nieprzyjemnie. Jeszcze raz chciał spróbować szlachetniejszego uczucia — ale na nieszczęśliwą wpadł drogę. Młoda, gorącej duszy pragnąca kobieta zwróciła na niego swoje oczy. Za jego serce złożyła mu wszystko w ofierze, co tylko kobieta poświęcić może. Ona mnie kocha nad życie, pomyślał sobie Krzysztof, bo cóż ją może skłaniać do poświęcenia tego wszystkiego, co najdroższem jest kobiecie? Mąż, rodzina, opinia przed światem, wszystko to poszło na stos ofiarny dla tej dziwnej miłości. Krzysztof wiedział, że źle czyni, ale gorąca dusza nie mogła tak łatwo ochłonąć z szału. Czyniono sobie wzajemne wyrzuty, ale w końcu zgodzono się w tem, że uczucie, które ich owładnęło, przechodzi siły człowieka — że jest nieśmiertelne. Ale wkrótce spostrzegł Krzysztof, że to „nieśmiertelne uczucie“ zaczęło jakoś szwankować w sercu śmiertelnej Anusi, a przyszedłszy razu jednego o niezwykłej porze, ujrzał swoje miejsce zajęte przez innego, o którym utrzymywała Anusia, że lepiej od niego pojmuje wyższą, do wszystkich poświęceń skwapliwą kobietę! — Była to ostatnia, chociaż fałszywa struna jego serca, która teraz pękła — aby ono wiecznie milczało! Odtąd żył Krzysztof w gronie wodwilistek i chórzystek po miastach zagranicznych, płacił za przyjaźń i uściski przyjaciół i śmiał się serdecznie, gdy ktoś pieniędzy brać nie chciał. I tak przeżył jakie lat czterdzieści.

Powiedziawszy to zasmucił się ksiądz Ignacy. I mnie było żal biednego Krzysztofa, którego serce tak nielitościwie świat oziębił.

— Jak waszmość widziałeś, mówił dalej ksiądz Ignacy, jest on teraz brzydki i odrażający. Doświadczenia, które wyniósł z kałuży zepsucia, wykrzywiły twarz jego do szyderskiego uśmiechu, do szydzenia z wszystkiego. W kole rodzinnem byłby może wcale innym człowiekiem. Dzisiaj cieszą go tylko cudze nieszczęścia i niezgody. Gdzie rękę włoży, tam wszystko

zamąci. A czyni to z prawdziwą rozkoszą, z roskoszą wcielonego dyabła. Pana Jędrzeja procesuje od lat dwudziestu o nieprawne posiadanie Boleszczyc, a nawet jednego razu zjawił się jak zły duch śród jego rodziny, i przeklął ją, aby nigdy nie było w niej zgody rodzinnej! —

— Czy wywarło jakie złe skutki to przekleństwo? zapytałem.

— Dotychczas nie, ale pan Jędrzej mocno obawia się tego. Pan Krzysztof jednak mimo całej swojej przewrotnej natury, ma kilka chwil dobrych raz do roku i to w wilią św. Floryana. Tylko żeby mu nikt z rodziny Boleszczyckich na oczy się nie okazał. Siedzi on wtedy przy kominku i cofa się do owych dni, w których obok wyżła siedział na kolanach rodzicielskich. Dziwne to serce ludzkie! Przecież ono nigdy zupełnie nie zamilknie!...

Ksiądz Ignacy chciał jeszcze coś więcej mówić, gdy nagle we dworze wiele świateł zajaśniało, a po zroszonej trawie doszły nas jakieś dziwne głosy.

— Coś się tam stało, zawołał ksiądz Ignacy i szybkim krokiem wróciliśmy obaj do ogrodu.

C. d. n.

Z nowego poematu Wincentego Pola

„STRYJANKA.“

— Wszędzie dobrze a w domu podobno najlepiej!
I choć się człeka wieczna gościna uczepi,
To rad przecie od duszy, gdy się jej odimie
I dostanie na powrót do własnego kątka —
Gdzie wiernie pług swój orze, swoja przędzie prządka,
I gdzie we wsi poczciwe zeszłych ojców imię:
Gdzie za przybyciem ludzie ciągną się do dwora
I w kościółku modlitwa jest za kollatora —
A na cmentarzu wieczne za ojców pacierze
I gdzie serce tak daje, jak od bliźnich bierze...

— Tak było i z Bączalskim.
Dobre żarty, śmiechy
Zabawy i baraszki — ale jest potrzeba
Westchnąć człeku czasami do domowej strzechy
I na grobie swych ojców do Bożego nieba!

— Cały rok był w gościnie. Bez niego pług orze,
Bez niego się i zbierze i omłóci zboże, —
Lecz na Adwent i Maik zjeżdżał do Bączali,
A gdy mu wierni słudzy roczne karby zdali:
Kazał przemierzyć szpichlerz, ludzi obrachował,
Pszeniczkę — (bo pszeniczka to jużciż rzecz pańska)
Więc wodą świętojańską wyprawił do Gdańska,
Arendę podbierał — złoto tylko schował —
A resztę, co tam było na szpichlerzu ziarna
Na gromadę i dworskich i flis rozdarował;
A chociaż nikt w Bączali przeszło od pół wieku
Nawet złego pół słowa nie powiedział człeku —
Była i czeladź wierna i gromada karna.

— Stary Andrzej, murgrabia i kredencerz z rodu
Chodził koło zameczka i koło ogrodu;
Stary kucharz pasieki i stawków pilnował,
Stary stangret podjezdki do Mościsk podchował
A że rybka i pszczółka, szkapka i pszenica
Stawi — jak to mawiają, na nogi szlachcica:
Więc bez biedy, a prawie nawet bez zachodu,
Nie było ani na wsi, ni we dworze głodu —
I na tem się kończyło Cześnika włodarstwo
Że w piwnicy i w kiesie było gospodarstwo.

— To też — kiedy bywało już na wiosnę zjedzie,
Wszystko samo się składa i po myśli wiedzie:
A że w Maju świętego Stanisława bywa —
To i gości nie brakło w dzień jego patrona,
Lecz często nawet cała okolica spływa
I nie jedna się urwie na skrzypeczkach strona —
A pan Cześnik i raczy i gościom przygrywa:

„Biorę, biorę skrzypki
„Ta z zielonej lipki!
„Hej! Panie i Panki
„Po skrzypkach „*Stryjanki*“
„Witajcie mi Krzysie
„Krzysie i Anulki —
„Prześliczne Marysie
„I wdzięczne Kordulki!
„Dalej Panieneczki,
„Zosie i Juleczki!
„Dalej śliczne buzie
„Kasieńki i Rózie
„Bo na Stanisława
„W Bączali zabawa!
„Ra-ta-tam! Ra-ta-tam!
„Hej hu ha! kiedy gram!
„Kiedy gram! Cześnik sam!!“

Ot... i dobrze bywało — mimo srogie sędzie:
Bo ni takiej ochoty, ni tego zapasu
Nie znaleść już na świecie dzisiejszego czasu
I jak Polska kochała — nikt kochać nie będzie.

— Lubiał Cześnik weselić i raczyć sąsiady,
Lecz lubiał także zażyć w Bączali i wczasu,
I podumać w dzień chłodny przy ojców ognisku...
Lub gdy drzewa okwitły, błądzić między sady —
A w noc piękną — zasiadać na starem dworzysku.

— Był tam pień starej lipy — co ją wiatr wyłamał,
Na nim wziąwszy skrzypeczki Pan Cześnik siadywał:

I tu już ani sercu, ni żałości kłamał,
Kiedy nieraz noc całą przegrał i prześpiewał...
Bo Pan Cześnik na prawdę nie był tak wesoły,
Jak o nim rozumieli jego przyjacioły: —

— Z młodu bardzo się kochał — ot, i poszło krzywo!
Wszyscy bardzo lubili, lecz nikt nie dał córy;
Póki z ludźmi, pół biedy — ale było tkliwo
Gdy sam jeden, jeden był w domu — i bywał ponury,
I na starem dworzysku nocą się rozczulał,
I już tylko skrzypeczki do serca przytulał:
A gdy trawy zapachły na łąkach w pokosie —
A przepiórka i chruściel zawabił po rosie,
Koło serca bywało tam jakoś żałośnie —,
„Bo kiedy sianokosy, to jużciż po wiośnie?
„Oj — po wiośnie! i piąty krzyżyk już na grzbiecie,
„A ni żony, ni syna — i człek sam na świecie.

— Więc choć z razu wesoło na skrzypeczkach pocznie,
Jak gdyby do taneczka — ognisto i skocznie:
To już dalej wywodzi i treny i dumy —
Że aż idą w dąbrowę po miesiączku szumy!
A i ludzie nie myślą już na wsi o spaniu
Lecz wyległszy na przyspy — dziwują się graniu:
A pan Cześnik wygrywa, że aż myśl się błąka!
A czasami zaśpiewa — lub z cicha zabrzdąka —
Z wielkiej duszy boleści i z serca żałości,
Z zawiedzionych nadziei, wzgardżonych miłości...
Takie dziwne się granie, taka pieśń się plotła —
Że całego żywota biła otchłań z kotła
Losów i uczuć — tylko wyśpiewanych nocy —
I że Cześnik nie trzymał już sam siebie w mocy
Kiedy zasiadł na ojców siedlisku i grobie
I poczciwie zadumał się o nocnej dobie:

„Wezmę ja skrzypki
„Z zielonej lipki
„I zagram sobie!“

„Tu — na starem dworzysku dla mnie skarb Bączalski —
„I tych skarbów nie weźmie mi już żaden Skalski!
„Tutaj — żyli ojcowie — tam leżą ich kości
„Przy kościółku — w pokoju i Bożej miłości!
„Tu — nas mlekiem karmiono, i żywiono chleby —
„Tu i lipa zna pamięć wiedeńskiej potrzeby
„I pamiątkę aż dotąd po Rotmistrzu chowa,
„I tu — Babka — nieszczęsne wymówiła słowa,
„Gdy jej wnuki hałasem bardzo dokuczyli —
„„*Bogdaj się po jednemu tacy już rodzili!*“
„Chciała potem przebłagać i niebo i losy,
„Chciała dla nas uprosić łaskę Bożej rosy
„Za przyczyną świętego Stanisława w ziemi
„I z sieroty się żenić tylko ubogiemi
„Kazała w pokoleniu, — zawsze przecież jeden
„W rodzie — chociaż Stanisław, i ten jeden — bieden!
„Bo cięży klątwa Babki, i ów skarb Bączalski,
„I nieszczęście na żywot — sieroctwo i Skalski!
„Wszakżem chciał wziąść sierotę, nie dali sieroty...“

— Tak się Cześnik wyżalał na starem dworzysku —
I siadał do miesiączka, i w serca ucisku
Jako inni pić zwykli — zagrywał tęsknoty!
Ztąd, choć z wieczora skocznie rozpocznie swe granie,
Z cichą nocą i boleść w piersiach jego rośnie,
Więc wywodzi i dumy i treny żałośnie
Aż pieśń w końcu pobożną zagra na zaranie
Bo i w sercu jest głębia — a kiedy w tej głębi
Krew poczciwca jak wrzątkiem miłości zakłębi —
I gdy w niej się przeważą dziwne ludzkie losy —
Jak z otchłani się różne dobywają głosy...

(*D. n.*)

ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO,

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(*Dokończenie.*)

Dalej daje nam pan Kulisz bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru wzdłuż dzisiejszych powiatów czehryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rossyjskiego, który niepodejrzanem świadectwem swojem najlepiej poprzeć nas zdoła.

„Wszystek tedy kraj ukraiński“ — opowiada dalej p. Kulisz *) — „obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczodrze uposażona od Boga miała

*) Tamże tom I str. 83—87.

zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowuż zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje, i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, poźniej dla zakrzątnienia się około nowej ich uprawy i kolonizacyi. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzimych Poleszuków, i ichto wioseczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu Dnieprowem. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy około Kijowa i Berdyczowa, gdzie oddawna trzymała ziemie szlachta średniej fortuny jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna przeszła od Strusiów do Potockich, Śmilańszczyzna od Koniecpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficyaliści i pełnomocnicy, podobnież jak właściciele górnych powiatów sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna tymże samym sposobem bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych bądźteż z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów od pana zbiegłych".

„Kulminacyjnym punktem tej kolonizacyi ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody Kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlania ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów stale na kresach Ukrainy konsystujących, a ztąd partyą ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie nawyknąwszy do stron tutejszych pozbywali tęsknoty powrócenia do domu, i korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przed wszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach słobody tojest uwolnienia od wszystkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową słobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praźnikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na słobodę. Lecz w każdem siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili — byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub doznający prześladowania, było nakoniec wiele ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsłuchywało z radością obietnicom nowozakładających się słobod jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książe Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom słobod ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzą żoną i z cudzemi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa".

„Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznemi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowozałożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lekszych warunków poddaństwa u nowych właścicielów zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem słali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwległych siół i grodów rossyjskiej Hetmańszczyzny. U rybaków dnieprowych przechowała się po dziśdzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobrzeża a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu słobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się *słobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy

wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności".

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naznaczano najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furażu wojskom rossyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporoże przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju, prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła, i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innem nie znajdywała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Ztąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego, kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo tak i Ukraińcy nieznali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i ufając żyzności gleby nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasznego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwyczajnie nizkie ceny, albo całkowity brak chleba, głód a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich, i żadną miarą niemogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiła i zabudowała te strony..."

Tożsamo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackiemi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

„Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisów polskich *hosticum* u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowuż w ludną krainę.... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporozkie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię, ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną".

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie czyto na Ukrainie czy na Podolu i w Haliczu spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jassyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Zastanawiając się nad tem historycznem powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

„W stronach południowej Rusi" — pisze nasz Marcin Kromer w drugiej połowie XVI stulecia — „już prawie więcej w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy".

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu z sobą zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość broniąc Rusi od Tatar, lemiesz uprawił ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych. Gromieni bowiem szablą polską Tatarzy i Turcy wracali lat następnych na nowo z pożogą i rabunkiem w granice nasze, ani polski też oręż zgnębił ostatecznie Tatarów w Krymie i grozi dziś Osmanom w Carogrodzie. To samo zaś polskie narzecze, które przed trzystu laty słyszano tak szeroko po ziemiach ruskich, brzmi tam ciągle po uprawionych ręką polską obszarach i brzmieć będzie na zawsze po założonych przez nią siołach i dworach.

ŻYCIE I SPRAWY MARTWYCH.

I.

Krzemień i wapno.

(Dokończenie.)

Silną dłonią wziął człowiek panowanie nad ziemią, rozciągnął opiekę wszechwładną ponad wszystkie stworzenia — i wszystko co żyło hołdowało mu. Najmniej uwagi go-

dną zdała mu się przyroda martwa, gdyż niewiele korzyści mógł z niej bezpośrednio wydobyć. Była mu ona jednak podstawą panowania, a potrzeby niektóre zmuszały go bliższą zabierać z nią przyjaźń. Lecz jakże służyli wonczas człowiekowi znajomi nasi, krzemień i wapno?

Działając tajemnie, zaczęli mu oni służyć z wielkiem poświęceniem — bo własnego życia. Przechodząc w części organiczne roślin, zastawiali mu stoły pokarmu, aby cieleśnie rozwijał się król stworzenia. Pszenicy, jęczmieniowi, żytu i wszelkim trawom udziela krzemień koniecznych cząstek do życia, — wraz z fasolą, bobem, kapustą pożywa człowiek tak potrzebne wapno. A ileżto tych części z wodą nie przejdzie w ludzki organizm! Przyczyniają się więc do utrzymania zwierzęcej strony człowieka. Zobaczmy teraz, jak działali przy duchowem jego rozwinięciu.

W wielkiej obfitości rozsypał się krzemień po ziemi Sławiańskiej. Twardością swoją i ostrością w złomie zwrócił on uwagę jej mieszkańców. Poczęli więc zeń robić sobie narzędzia, jako to: noże, siekierki, młoty i t. p. Zastępowały one im żelazo i inne kruszce, — nie tyle krwi przelewały, a czyniły usługi w uprawie roli i w gospodarstwie domowem.

W tym samym czasie, stara już oświata położyła błogosławiące ręce na wschodzie i południu. Duch wszechstronnie rozkwitający pojął sztukę w swym ogromie, i tworzył arcydzieła. Wznosiły się świątynie — rzeźbiarze myśli swoje przelewali w posągi z marmuru, które Ateny, Memfis, dumną Romę zdobiły. — Ogromem i trwałością zadziwiają olbrzymie cyrki, które wieki przetrwawszy, powoli zasypują kości ległych gladyatorów!

I czemże były najgłówniejsze materyały do tych arcydzieł? w największej części krzemień i wapno. W głazach znoszonych do budowy, stanowiły one najgłówniejsze części — marmuru i alabastru używano do posągów i upiększeń zdobiących stolice starego świata.

O wiele później (bo za Kazimierza Wielkiego) zaczęto i u nas myśleć o gmachach murowanych, i niemało pomników wznosi się w kraju, których wieki niezgarbiły, i które niejedną jeszcze burzę przetrwają — na niejedno jeszcze pokolenie z dumą spoglądać będą ze starych swych szczytów. Któż przechodząc wzdłuż grobów królewskich na Wawelu nie ugnie kornie czoła i kolana przed sztuką i świetnością — a komu nie uderzy serce na czasów minionych wspomnienie? — Materyałów do tych świętych nam pomników przeszłości, dostarczyła też i ziemia własna. W okolicach Czerny, Krzeszowic, Dębnika i Szklar, znachodzą się marmury; najwięcej czarne — bo też i żałoba najwięcej nam przystoi. — Kościoły nasze Krakowskie w większej części — posąg Zygmunta III. w Warszawie, stary zamek w Kielcach, pobudowane są z pstrej brekcyi wapienia przechodowego (podobnej do *marno brecciato* Włochów), która w wielkiej ilości w górach Sędomirskich, w okolicach Kielec i Chęcin się znajduje. Więc tyle wapnu zawdzięczamy! —

I to było co robił człowiek dla wygody; teraz chciał dogodzić próżności. I oto wziął śliczne i różnobarwne kryształy krzemienia, nasze kwiatki podziemne, otoczył złotem lub srebrem, upiększył niemi ręce lub powiesił u uszu, i rzekł: oto różnię się od drugich! Inni obłożyli niemi ubiór lub broń. A nietylko w znajomych nam barwach i kształtach występuje tu krzemień. Udzielając się innym znajomym znajduje się w szmaragdach, granatach, hyacyntach i t. p. tak zwanych szlachetnych kamieniach. Niemożna przeczyć, że uderza oczy błyskotanie naszych kwiatków! Zkądby się wziął ćmiący połysk świetnego balu — iskrzące ozdoby indyjskich króli — igrająca kolorami broń gorącego araba — gdyby nie one? A jakież namiętności nie rozbudza piekąca barwa krzemiennego krzyształu; jakież potworne myśli, prowadzące do zdrady lub mordu nie powstają w piersi chciwego na widok tych pstrych zabawek? Kamień co na złotym łańcuchu pierś człowieczą zdobi, iskrzy się gorąco do słońca — lecz ziębi i zakamienia żyjące pod nim serce gorące! —

Na bezdroża zaszedł nasz krzemień!

— Natoż tysiące lat leżąc w głębi ziemi śniłem o świetlném życiu — natoż iskrę światła żywię w piersi mojej by ród ludzki oślepiać i do bezprawiów podżegać?— Tak myślał i smucił się krzemień, że człowiek fałszywie go pojął; — lecz przecież nietracił nadziei.

A oto zmówił się z wapnem, przystąpili przed człowieka w chwili gdy duch jego działał, i rzekli: Dozwól niech ci służymy królu ziemi! Zrób nas narzędziem twojej myśli, sługami twojej woli, aby przyroda przez nas rozwarła się przed tobą. Nieboimy się śmierci, gdyż ona jest tylko zmianą — zmartwychwstaniem do wyższego, szlachetniejszego i czystszego życia. A człowiek wyciągnął rękę, wziął piasku czystego, wapna i saletry — starł na proch i włożył w naczynie; jarkie płomienie objęły je, proch się rozpływał w strumień ognisty — wreszcie skrzepł — i stworzył *szkło*.

Fenicyanom przypisuje podanie wynalazek szkła; lecz dalekimi byli oni od myśli, iż stworzyli siłę, za pomocą której obchodzić będzie człowiek najświetniejsze tryumfy badawczego ducha. Ich cieszył znowu tylko połysk i przejrzystość. Tworzyli ze szkła naczynia i zastawiali niemi stoły. Wartość kamieni szlachetnych miało szkło naonczas. Gdy fenicki lub kartagiński kupiec uczty rodzinne dawał, musiały błyszczące roztruchany o zamożności gospodarza świadczyć. Jeszcze Nero i Hadryan liczyli swe wazy szklanne do kosztowności pałacu, a wartość jednej z nich do pół miliona dochodziła. Szczęśliwy był wówczas ten, co kawałek szkła lub lustra w majątku posiadał i drogą spuściznę dzieciom mógł zostawić.

Cieszyły Rzymiana przejrzyste puchary, a przecież duch jego wynalazczy nie przyszedł do tego, aby użyć szkła do rozwidnienia pysznych swych gmachów. Pałace światowładnych Cezarów Romy spoglądały ponuro pustemi oknami; owe olbrzymie budowy Niniwy i Babilonu — przesławne świątynie starożytnego świata — nie znały szyb szklannych, ujętych w ramy; rodzaj płotku z pręcia lub okiennice drewniane broniły przed deszczem i burzą. I przeszło trzy tysiące lat używali szkła ludzie do rzeczy zbędnych, zaczem na myśl okien szklannych przyjść zdołali.

U nas długi czas szkło białe na szyby (także alabaster) należało do zbytkownych rzeczy. Zwano je przeźroczyszczem i sprowadzano z Wenecyi. Pospolicie używano szybek okrągłych ze szkła zielonego. Nie trzeba zaś wiele

*

wstecz się posuwać, bo i teraz znajdziemy jeszcze na Rusi *kurne chałupy*, gdzie okna cienkiemi deszczułkami ze smolnej sośniny lub jedliny miasto szyb opatrzone czerwone światło rzucają. —

Wszystko to było jeszcze za mało. Światła, światła, wołał krzemień; i przybrał jeszcze ołów (jako tlenek) do swych towarzyszy, i znowu topił się w szkło. A człowiek ulał szkło w kształt soczewki, przytknął do oka, i począł widzieć światy koło siebie — zwrócił ku słońca promieniom i zwięził je we szkle; rozkazał — i oto dalekie przedmioty się zbliżały, oddalały blizkie — małe rosły, a wielkie mniejszały. I poczęli ludzie robić narzędzia, które im rzucały światło poprzed oczy duszy. Obok olbrzymiego teleskopu Herszla pracuje mikroskop Szlajdena nad poznaniem tajemnic świata. W jednej chwili przegląda pierwszy nieskończoną przestrzeń i niepojęte czasy. Tajemnice stworzenia otwierają się mu, gwiazdy mówią mu o świata odwiecznych prawach i wabią duszę w nieskończoność myśli. I tu stają się powszednie rzeczy cudami — granice stworzenia rozprężają się w niedojrzane.

Równie wzniosłą jest nieskończoność świata mikroskopowego; nawet wątpliwość powstaje co podziwiać więcej, czy ogrom światów słonecznych, czy kształt i siłę życia owych żyjątek, którym kropla wody staje się kulą ziemską. Gdziekolwiek zwrócić mikroskop tam roi się życie. Spojrzysz w kroplę wody lub kruszynę ziemi — wszędzie żyją, ruszają się, prześladują siebie, walczą, kochają i nienawidzą! A gdy go skierujesz ku prawie niedostrzeżonej odrobinie listka kwiatowego, na pyłek z motylego skrzydła, na drobniutką krwi kropelkę — jakiż to świat cudów! Komórki i kropelki, pstro barwione piórka i tkaniny.

Jeżeli starzec słowo boże czyta, to szkłem uzbraja wzrok swój gasnący; szkło chwyta zbłąkany żeglarz gdy lądu na sinych wodach nie widać; szkłem przebiega wódz pole bitwy, gdzie losy narodów się ważą.

Nieocenić nam usług, jakie krzemień i wapno robią człowiekowi; usługi wielkie nad wyraz — istnienie ich niezbędne. One to nietylko żywią i stroją ludzi, lecz stają się pomocnikami do najgłębszych badań ku wykryciu prawd; przez nie uduchownia się przyroda martwa, staje się przedsionkiem świata światłości — kolebą żyjących, nieśmiertelnych myśli! —

J. St.

Zygmunta Krasińskiego dzieła pośmiertne.

Wyjątki z Listów Tom. 1. — Poemat niedokończony.

Poetów mamy wielu. W tym wieku bowiem zeszła dla nas pora poezyi. Zwłaszcza w ostatnich czasach przeważył nastrój poetyczny we wszystkich prawie dziedzinach literatury naszej — jak to zwykle bywa po wielkich katastrofach.

Dziś wprawdzie zaczyna świtać nowa peryoda literaturze naszej — *peryoda dziejowa.* Ale jeszcze goruje nad nią blask poezyi, bo tego nowego zwrotu literatury liczymy dotychczas zaledwie kilku zwiastunów, którzy dopiero stanęli u wstępu na nową drogę rozświetlając ją naprzód jako świeczniki przyszłości i wskazując narodowej oświacie nowe tory: *tamtędy pójdziecie.*

Poetów zaś mamy wielu celujących, a kilku takich ku którym się skłaniają serca we wszystkich zakątach ziemi naszej.

Serce nasze znajduje się pośród nich jak dziecię nieśmiałe śród grona starszyzny: niepewne kogo pierwej uczcić. —

Smierć rozstrzyga zazwyczaj tę sprawę. Lecz sądy nasze jeszcze nie są ustalone nawet między tymi, których śmierć zebrać nie śmiała, a którym siła natchnienia nie dozwala spocząć na wyżynach, dotąd osiągniętych.

Oddawaliśmy więc temu pierwej cześć ostateczną, kogo pierwej śmierć zabrała. Między żyjącymi zaś bywa serce zawsze skłonne wynosić tych, których niedola oddaliła z naszego grona, nad innych szczęśliwszych. —

Każdy przyzna że tym sposobem sąd nie jest ustalony, i należy to, sądzimy, pozostawić potomnym czasom.

Dla nas, dzisiejszych ludzi, są wszyscy poeci którzy do całego narodu przemówili tem sobie równi, że każdy z nich grał na strónach stanowiących akord żywota narodowego. Każdy z nich zawieszał arfę swoją na wiatrów przewiewie, jak Dawid, by go niebiańskie tchnienie do modlitwy budziło.

Lecz w każdego grze jest inna dominansa.

Oto jeden zebrał wszystkie uczucia i przeczucia, namiętności i zachwyty, które poruszają duszę narodu, sprzągł te dźwięki z mistycznością wtorującą wszystkim wspomnieniom i nadziejom naszym. Utworzył postacie żywe, które czują, mówią i czynią co w każdem sercu naszem spoczywa. On zmieścił całą potęgę duchową narodu w obrazie jednej rodziny, jednego dworku szlacheckiego.

Dla tego nazywamy A. Mickiewicza poetą *potęgi narodowej.*

Inny, który pierwej jeszcze pospieszył w krainę duchów, za którą tęsknił będąc jeszcze w pełni życia, splótł harmonię z dysonansów. Dusza jego miotała się od szczytów wzniosłości niedoścignionej dla większej części duchów zwyczajnych, do powszedniości najzwyklejszej. Poezya przywdziewała pod jego piórem najsprzeczniejsze formy. Raz olśniewał ducha blaskiem klejnotów które rozsypywał garściami; innym razem obrażał dziewiczo nastrojoną duszę wrzawą piekła, złości i szyderstwa. Wielki — lecz rozdartego serca — *poeta namiętności.* Tak nazywamy poetę który mógł pisać króla Ducha i Beniowskiego.

Z żyjących śpiewał nam jeden pieśni, w których zlał muzykę stepów Ukrainy i dumy jej ludu z modlitwą korną katolika w jedną harmonię. Wyśpiewał on czego pragnie dusza narodu, za czem serce jego tęskni, stał się *poetą tęsknoty narodowej,* która nawet w niebie przypomina ciągle że *»U nas inaczej«.*

Jeszcze jeden z naczelnych poetów naszych śpiewa nam z obcej ziemi, a dusza jego wyrywa się ciągle wyobraźnią do ziemi rodzinnej. Maluje on z dziecinną prostotą ludu złotem i lśniącemi barwami, widzenia *zachwyconych* i szczęście *błogosławionych*, jest poetą *zachwycenia* religijnego prostaczków, najniewinniejszego najwźnioślejszego póty, póki nie łączy w sobie żadnej próżności i pretensyi.

Zwracając się ku naszej ziemi wyciągamy dłoń przyjacielskiego uczczenia ku poecie, który olśnił ducha naszego opiewaniem wszystkiego co kochamy: *Ziemi naszej*, *Domu naszego*, *rodzinnego kółka* i ręki ojcowskiej, która miłuje gdy karci, albo szczodrze darzy syna i błogosławi mu gdy go wysełа *na kresy*, by zostawiwszy łzy w domu surowem życiem rycerza okupował całość kraju; lub nareszcie wiejskiego skrzypka na swojem dworzysku, który najrzewniejsze struny serc naszych porusza. Ten jest poetą *miłości narodowej*.

Uzupełnia to koło poeta, którego duszę młodocianą *dym pożarów* nastroił do proroczego lamentu i namaścił go na poetę *boleści narodowej*.

Jakież miejsce zajmie w tem gronie ten, o którym dziś mówić chcemy?

Twórcy *Komedyi nieboskiej i Irydiona*, który wszystkie losy i czyny swego Narodu ważył na szali Opatrzności, który odnosił przeszłość jako opiekunki wszech światów, który odnosił przeszłość i przyszłość Narodu do niezbadanej rachuby dziejów świata całego i rozprawiał się z sądem Opatrzności — czyż temu przysługa nazwa inna prócz *poety posłannictwa*?

Zaledwie skończył swój żywot który był tylko ciągłem uniesieniem i ciągłym bolem, już pierwsze duchy i pierwsze pióra nasze rzuciły się do oddania mu czci należnej.

Dziś wprowadza go jeden z naszych podobno ziomków pod nazwiskiem przybranem *Paul de St. Vincent* przed trybunał krytyki europejskiej w rozprawie zamieszczonej w *Revue contemporaine*.

Rodzina zaś i przyjaciele zebrali pozostałości literackie i obdarzyli niemi naród, za co im się dzięki należą. Z tych pozostałości pierwszym a prawdziwym skarbem są *listy Zygmunta Krasińskiego*.

Rozkoszą jest czytanie tych listów. Tą rozkoszą radzibyśmy podzielić się z czytelnikami. Powiemy o nich na co nas stać, by w końcu powtórzyć co powiedział o nim autor *Życiorysu Zygmunta Krasińskiego* (przy wydaniu jego listów do Kajetana Koźmiana o poemacie: *Stefan Czarniecki*.)

„Mówiącego chciałbyś był bez końca słuchać, mówi autor *Życiorysu*, tak jak powiedziano o pewnym znakomitym mowcy: *Słuchałeś go jeszcze, gdy już mówić przestał*. Teorya szkolna . . . pomija wymowę największego może znaczenia i potęgi — wymowę słowa żywego — wymowę że ją nazwę rozmowy potocznej. Otóż w niej był Zygmunt mistrzem nieporównanym. W słowach jego był płyn magnetyczny i prąd elektryczny. Rozbudzał i podbijał twego ducha“.

Autor mówi więcej jeszcze o wymowie Z. Krasińskiego, ale najwięcej powiedział — gdy twierdzi: *»Mówił on tak jak pisał«*. I w tem miejscu obiecywał autor *Życiorysu* czytelnikom że *z korespondencyi jego, która drukowi powierzoną będzie, powezmą* czytelnicy wyobrażenie *jak mówił* — lecz przytem przypomnieć sobie powinni słowa współzawodnika Demostenesa, który odczytawszy uczniom jego mowę z oznakami uniesienia przyjętą, dodał: *„A cóżby było gdybyście go byli samego mówiącego słyszeli!“* .

My tedy powiemy czytelnikom naszym o tejże samej *korespondencyi* obiecywanej przez autora *Życiorysu*, którą obecnie mamy przed sobą: jeżeli z tego co piszemy, poweźmiecie o niej pochlebne wyobrażenie, cóżby było gdybyście ją samą czytali.

Czytajcie i odczytujcie. Nie jestto korespondencya pobieżna, są to same *improwizacye* człowieka któremu były potocznemi najwyższe, najtrudniejsze i najzawilsze zagadnienia estetyczne, filozoficzne i społeczne.

A co najważniejsza: widzimy że umysł jego równie był swobodnym w szczupłem kółku rodzinnem jak w świetlanych sferach wszechświata. Niemówimy tu o *pożyciu domowem*, to do nas nie należy, tylko o nadzwyczajnej *prężności myśli*, która do najciaśniejszych obrębów umiała się równie zastósować jak do obszarów nieskończoności: tam nieczuła więzów, tu nie było dla niej próżni.

W listach do swojego *Adzia i Lila* jest ojcem, który spowiada dzieci z ich grzeszków dziecinnych, nauczycielem elementarnym, który ich uczy pisowni, gramatyki i czystości języka, a przecież nieprzestaje być poetą i filozofem. Listy te niepodlegają żadnej krytyce, tylko przytaczać by je trzeba; nie mogą one być przedmiotem rozbioru, ale możnaby z nich ułożyć książkę dla dzieci, wyjaśniając zdarzenia które dały powód do uwag ojcowskich. Nie potrzebaby w tym celu wglądać natrętnie w tajemnice pożycia domowego rodziny pozostałej, bo świat dziecinny i życie dzieci wszędzie jednakie.

A dziwna zgodność w igraszkach i fantazyach dziecinnych, przez wszystkie pokolenia prawie, i u wszystkich narodów, nad którą się zastanawiał *Jean Paul Richter*, tak samo się objawia w grzeszkach i złych skłonnościach dzieci.

Tu najbardziej się okazuje jednolitość ludzkiej natury.

Czyż nie przydadzą się każdej rodzinie przestrogi dane Adziowi, czy nie warto je wypisane lapidarnie zawiesić nad łóżkiem każdego chłopczyka, jak w czasach nieudolności ducha co do sposobu wychowania, wieszano rózgę nad łóżkami dzieci? Przytaczamy dwie wyjmując te dwa klejnoty na chybił-trafił z całego sbarbczyka.

»Plombières 1858«. Drogi Adziu mój. Z taką szczerością i serdecznością z winy mi się wyspowiadałeś, że ci ją muszę od razu przebaczyć, a za ufność podziękować z serca. Lecz inną razą pamiętaj, że jak żołnierza rozkaz wodza przykuwa do stanowiska, tak i ciebie powinien rozkaz matki — i że dla niesprawienia jej sercu rozdzierającej niespokojności, nie tylko na deszcz, ale na grad i pioruny winieneś się narazić i dotrzymać im kroku; — w każdym zaś innym przypadku, roztropnie uczynisz, unikając deszczu i przemoknięcia. *Bo w pierwszym razie błogosławieństwo Boże będzie z tobą i ocali cię* — w innych zaś, szczególnie zaś w takich, gdziebyś przez miłość własną, przez fanfaronadę narażał się napróżno, nie możesz *liczyć na opiekę tego błogosławieństwa* . . . Że dom niewygodny mniejsza

o to; — w twoim wieku, niewygody wyobrażenie jeszczeby istnieć nie powinno. Coby Stefan Czarniecki wyrzekł, gdyby słyszał, że dbasz o to, czy drzwi na kurytarz się otwierają, czy też na inny przyległy pokój? Wspomnij tylko o chatach, po których on mieszkał, wojując — i o chacie w której ducha wyzionął". List ten przeplatany jest sprostowaniami błędów gramatycznych i stylistycznych, dalej są uwagi ojca nad spostrzeżeniami myślącego chłopczyka o różnicy charakteru narodowego między Francuzami a Niemcami.

W następnym zaraz liście po nauczce z powodu uwag Adzia *»o ciekawości płynących do Cherbourga»* którą syn porównał *»do chuci karcianej i szałów wyścigowych»*, a o której ojciec pisze:

„W świecie przyrody taką ciekawość pojmujesz, a nie pojmujesz jej w świecie historyi? Zastanów się!"

Po tej nauczce następuje nauczka zupełnie innego rodzaju a zbyt piękna, pod względem stylu równie jak myśli, i zbyt pożyteczna nawet dla starszych, by jej niepowtórzyć:

„Co do tego, że cię złajano o stłuczenie Marylki, oczywiście nikt nie posądzał cię o umyślną chęć zaszkodzenia siostrze, ale najdokładniej sam istotną winę twoją wyraziłeś, pisząc: *»o mnie nic mogącego w rozpędzie się wstrzymać, uderzyła»*. Ciałoż ludzkie frygą bezmyślną, pchniętą obcej ręki rzutem? — czy też nastrojem przedziwnie uistoczonym, właśnie na to umiarkowanym, by słuchało rozkazów wnętrznych rozwagi i woli? Dajmy, żeś dosiadł konia niesfornego, żeś przez zapomnienie cugle z rąk wypuścił, a on cię unosząc, pokaleczył ludzi po drodze. Czyby w szkodzie im wyrządzonej nie było trochę twej winy? Otóż tak samo teraz, koniowi własnego ciała, któremu byś powinien doskonałym być jeźdzcą, wodześ na kark opuścił i on cię unosząc, obalił Marylkę".

„Biskup kamieniecki nie wierzył w przypadki — lecz wierzył natomiast *w bezkrólewie uwagi i rozsądku* u tych, którym się często przytrafiają. Drogi chłopcze mój, *bądź królem sobie a nie przypuszczaj często bezkrólewiów* — wszakże wiesz że Polskę zgubiły a z tego samego powodu, gdyż nikt nią, podczas nich, nie rządził. Bądź królem i panuj sobie i rządź sobą, a mniej myśl o wywieraniu rządów nad drugiemi. Podobnyś w tem do człowieka, coby własnego palącego się domu nie ratował, ale z sikawką wszedłszy cudze domy nietknięte ogniem wodą oblewał. Zwykle to słabości cechą, nie owładnąwszy sobą samym, chcieć drugimi władać . . .

Na tem kończymy obeznanie czytelnika z tą prześliczną ojca z synami rozmową. Nieradzi się rozstajemy z tą częścią listów Z. Krasińskiego by pójść w ślady za duchem poety w wyższe, może powinniśmy tylko powiedzieć: w rozleglejsze dziedziny, gdzie *»duch jego z duchem światów rozmawia»*.

Listy o których dopiero mówiliśmy stanowią *czwarty dział* całego zbioru w I. tomie zawartego, są one też pod względem czasu, z którego pochodzą, najpoźniejsze.

Wydawca podzielił ten tom (obiecuje ich cztery wydać „z czasem") na:

I. Listy oryginalne będące jego własnością.

II. Wypisy z innego liczniejszego zbioru.

III. Nadesłane mu kopie korespondencyi z różnych źródeł.

IV. Listy które Z. Krasiński w ostatnich latach swego życia pisywał do synów.

O czwartej napomknęliśmy i — powtarzamy — jest to przedmiot do dzieła nawet obszernego dla dzieci, dla młodzieży, a starym niezaszkodzi także pouczyć się z tej książki.

Pierwsze trzy części zawierają listy *o rzeczach potocznych*, a w tych są skarby poezyi; *o literaturze*, w tych może najwięcejby się znalazło zdań, na które trudno się zgodzić z Zygmuntem Krasińskim; o *filozofii*, których pojedyńcze pomysły i zdania staną się dla przyszłych myślicieli przedmiotami do obszernych dzieł.

Pomówimy najpierwej o tej filozoficznej części, bo z nią dla jej wielkości właśnie musimy się bardzo krótko rozprawić.

Niepowiedzieliśmy powyższego twierdzenia o filozoficznych pomysłach Z. Krasińskiego—jakoby na nich przyszli filozofowie mieli dzieła swoje budować, — niepowiedzieliśmy tego z pretensyą do proroctwa, ale z głębokiego przeświadczenia o ich ważności i donośności w daleką przyszłość badania ludzkiego.

Zygmunt Krasiński miał dar dywinacyi (czyli używając jego wyrazu: przewidzenia) w filozofowaniu. Komu zaś znana genezys różnych systematów filozoficznych, komu wiadomo, że Kanta *Krytyka* urosła z uwag nad jednem zdaniem Humego; Fichtego *Nauka o wiedzy* wysnuła się z niepokaźnej adnotacyi w Kantowskim dziele i t. p.; ten nieposądzi nas o przesadę gdy powiemy, że część filozoficzna listów Zyg. Krasińskiego może się stać i stanie się kiedyś podstawą całej filozoficznej literatury polskiej.

Nie wynika ztąd żebyśmy poczytywali pomysły Z. Krasińskiego za pewniki filozoficzne, owszem noszą one w sobie zarody sporności: ale to właśnie dlatego, że się tyczą zagadnień podstawnych i zasadniczych, samych węgłów myślenia, badania i życia ludzkiego.

Nie ujmują tej głębokości nic wykrzykniki jakiemi się n. p. zaczyna i kończy list datowany w Florencyi 1836: „Przekleństwo tym Niemcom panteistom!... Ach przeklęte Niemcy filozofy!"

Dlaczego ich przeklina poeta we Florencyi, jednej ze stolic piękności? Tłumaczy się to przekleństwem powtórzonem w środku tego wstępu: „Przeklęci, przeklęci! Oni chcą nas pozbawić piękności!" Rozumi się: panteizm jest zaprzeczeniem wiecznej indywidualności, a bez tej niemasz piękności i poezyi. Jeszcze w tej wczesnej porze życia swego (miał wtedy lat 24) wrzał zbyt mocno umysł jego tytanicznym zapałem poezyi, by mógł te olbrzymie budowy obłędu druzgotać nie prebłaganą siłą logiki. Dlatego w tym samym jeszcze roku pisze on: „Świat w myśli żyda, który się w końcu powiesił z rozpaczy (Spinoza), jest ogromną otchłanią życia i śmierci czyli przerobów życia, ale bez poczucia się własnego... niema wieczności myśli, ani miłości, ani wiary, ani nadziei — bo indywiduów nieśmiertelnych niema — są tylko nieśmiertelne nicości. Indya na sześć tysięcy lat przed żydem wisielcem takie już rozumo-

wała rozpacze. Tak, panteizm jest to rozpacz wyrozumowana".

Jeszcze tu jest Zygmunt Krasiński krytykiem, a pod względem literatury pięknej wiele bardzo trafnych, na wszelki zaś wypadek, bardzo nas obchodzących zdań objawia. Lecz o tem niżej pomówimy. Od r. 1841 pojawiają się ślady tworzącego się w jego duchu systematu filozoficznego. Im dalej w latach postępuje tem więcej tworzy pomysłów, tem wyniklej je rozwija, a przestaje być zaprzeczonym rozbieraczem obcych pomysłów. Zdybujemy tu porozrzucane zasady i pomysły, które znajdujemy uszykowane w znanem dziele: *Ojcze nasz*. Nie przypisujemy Zygm. Krasińskiemu autorstwa (przynajmniej nie wyłącznie jemu, bo ile nam wiadomo jest *Ojcze nasz* dziełem trzech myślicieli) ale pokrewieństwo logicznych wywodów a tożsamość wielu pomysłów jest niezaprzeczona.

Postęp nieskończony ludzkości i światów orzeczony już słowami ewangelii, *metempsychoza* jako wieczna indywidualność, objawienia w znaczeniu filozoficznem, przeczuwanie zbliżającej się nowej (trzeciej) ery w dziejach ludzkości, *magnetyzm duchowy* (o którym mówi że „radby inny wyraz wynaleźć na to — bo przypomina mu wszystkich doktorów głupich tego świata — ślamazarne somnambulki, Śniadeckich dawne żarty — i tylu amatorów śmieszne próby i bufonady") i inne pierwszego rzędu zagadnienia filozoficzne, stanowią przeważnie treść drugiego i trzeciego działu listów, ale w każdym nieledwie liście, nawet do dzieci pisanym, znajdziesz ziarno głębokiej filozofii, zwłaszcza zacząwszy od roku 1841.

Od najpotoczniejszych rzeczy przechodzi niepostrzeżonym biegiem wynikłości do najwznioślejszych zagadnień. Od próby strzelania bawełną do spostrzeżenia: „że się wszystko demokratyzuje, publicznem staje, rozprzestrzenia, i wspólnie coraz bardziej." Od próby eterowej (dla zdrowia czynionej) do uwag o śmierci. O sekcie, cudach i cudotworcach, obłędach w jakie popadł pan Adam, o duchach pukających, mediach i Humem znajdujemy spostrzeżenia zdrowe, jasne, różniące się wielce od zdania łatwowiernych, równie jak od skeptycyzmu bezmyślnych pedantów. Zdanie jego o magnetyzmie jest godnem głębokiej filozofii, którą umysł jego ciągle w sobie rozwijał. Uznaje on magnetyzm za „potęgę duchowi oddaną w zarząd", potęgę natury, której człowiek panem stać się winien przez siłę ducha swego — wolę. (*Dok. n.*)

ALBUM POLSKICH MALARZY

Z WYSTAWY TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE.

Wydał D. E. Friedlein, tekst objaśniający skréślił Lucyan Siemieński.

Uważamy za rzecz zbyteczną mówić o tem, jak wiele przyczynia się do zaszczepienia dobrego smaku i zamiłowania sztuk pięknych rozpowszechnienie rzeźb i malowideł zgromadzonych po Muzeach i Galeryach. W literaturze i sztuce skupia się dzisiaj cały nasz żywot, tamto spotykają się dawniejsi nasi rycerze kresowi i walczą o to, aby być „jednym kołem z tego płotu, którym Bóg ogrodził ziemię naszą".

Lecz różny jest los usiłowań takich. Potrzeba nieraz wielkich cnót i niezwykłego hartu duszy, aby nie postać śród drogi, aby nie zrazić się nieuznaniem zasługi i poprzestać na skromnem stanowisku, na jakiem zazwyczaj stawia u nas podobnych pracowników społeczność dzisiejsza.

Jeszcze prace pióra mogą w szersze wejść koła i tamże działać skutecznie, gdy tymczasem obraz, w który artysta część życia swego wkłada, staje się własnością pojedyńczego człowieka, lub zawieszony na ścianie w Muzeum oczekuje jak więzień upragnionych odwiedzin.

Otóż wielką przysługę narodowej oświacie czynią w tym względzie litografia i rylec. Wszystkie zagraniczne Muzea i Galerye rozeszły się tym sposobem w tysiącach exemplarzy po świecie i dokonały dzieła, które pędzel i dłuto dla siebie zakreśliły. — Wdzięczni zatem jesteśmy wszystkim nakładom podobnego rodzaju, i zalecamy je jak najmocniej publiczności.

Do rzędu tych publikacyi należy powyższe *Album.* Zawiera ono kopie z obrazów najznakomitszych naszych artystów. *Śmierć Wandy*, *Wróżka*, *Więzienie Katarzyny Jagielonki z jej małżonkiem Janem księciem Finlandzkim i małym Zygmuntem, później królem polskim, w zamku grypsholmskim*, *Dziewczyna bez dachu*, *Zygmunt I. nadający przywilej na szlachectwo akademikom krakowskim r. 1535*, *Wacław i Miecznik* (*z Maryi Malczewskiego*), *Kiermasz w Tyńcu i Zamek Tęczyński* — są to przedmioty, które mogą przymówić do duszy i serca i niejedną iskrę tamże zapalić dla tej potężnej naszej przeszłości! Piotrowski, Löffler, Simmler, Gerson, Matejko, Kapliński, Kotsis, i Schouppe złożyli tutaj dowody znakomitych talentów i gorącego zamiłowania rzeczy ojczystych. Jedno z najbieglejszych piór naszych objaśniło nam te obrazy w sposób nadzwyczaj zajmujący.

Przy tej sposobności opowiada nam p. Lucyan Siemieński wiele ładnych rzeczy nie tylko co do charakterystyki pojedyńczych obrazów, ale i co do sztuki w ogólności. Bardzo trafnie mówi znakomity nasz *cicerone* przy historycznym obrazie Simmlera: „Szczególny to w swoim rodzaju przypadek, że kiedy za granicą w głównych ogniskach sztuk pięknych uskarzają się na realistyczny kierunek, będący wyraźnem zaprzeczeniem wysokiego posłannictwa sztuki: u nas, stawiających pierwsze kroki w tym nowym zawodzie, niepopartym przez protekcye wielkich obstalunków, pojawiają się utwory, nacechowane dążnością, rokującą wzrost, nie zaś upadek; co przekonywa, że jak siły, tak źródła twórczego natchnienia nie są jeszcze zużyte, ani wyczerpane do szczętu. Jeżeli bowiem dwa najgłówniejsze życia kierunki: religijny i historyczny, mają swoją rzeczywistość, swoje, że tak powiem: sumienie w społeczeństwie, tem samem muszą się odbić w utworach czucia i fantazyi. Z tego punktu wychodząc, sztuka malarska nie jest u nas bez przyszłości, owszem ma ją zapewnioną, jeżli tylko wyswobodzi się z ciemnych teoryi, ze sztywności akademickiej a najbardziej jeżli uniknie prądów mody, unoszących ze sobą początkujące niedoświadczenie. Dla tego niespuszczając z oka tradycyi nieśmiertelnych mistrzów, powinna usiłować być samą sobą, i tworzyć z żywiołów rodzimych, biorąc natchnienie z dwóch niewyczerpanych źródeł jakiemi są religia i historya . . ."

Mając przed sobą to *Album malarzy polskich*, spędziliśmy bardzo przyjemnie kilka godzin w tem przekonaniu, żeśmy byli w znakomitem towarzystwie.

Z.

Kronika literacka.

(*Z*) Z ogłoszonego przez p. Michała Mrozowickiego konkursu na dziełko ludowe wyjmujemy następujące warunki: Tradycya cnót domowych i publicznych podnosi nietylko pojedyncze rodziny, ale i całą klasę społeczeństwa do poczucia narodowego i stawia je częstokroć na czele narodu. Dziś takie wyosobnienie jednej części narodu nie stanowi już jego potęgi. Między ludem tradycya cnót ogranicza się prawie do chaty. A jednak i lud ma zasługi dla całego kraju położone. — Otóż zebranie przykładów cnót prywatnych i publicznych, dopełnianych czy przez pojedyńczych czy przez całe gromady ludu naszego, i opowiedzenie takowych w sposób przystępny i na wyobraźnię ludu działający, jest zadaniem wspomnionego dziełka dla ludu. Ma ono zawierać fakta prawdziwe wyjęte z kronik, z herbarzów, pamiętników historycznych, jak i z obecnego życia. Nagroda za takie dziełko wynosi 300 złr. wal. austr. które złożone są do rąk p. Michała Mrozowickiego. Dziełko to może mieć 10 arkuszy druku. Mniejsze rękopisma także uwzględnione będą, licząc za arkusz druku po 30 złr. wal. austr. Termin konkursu do ostatniego Sierpnia r. b. Nadsełać na ręce p. Brunona Bielawskiego, redaktora Dzwonka. Nadesłany manuskrypt osądzą pp. Bruno Bielawski, Jan Dobrzański, Michał Mrozowicki, Mieczysław Pawlikowski i Kornel Ujejski. O bliższych szczegółach tego konkursu donosi Dziennik Literacki i Przegląd powszechny.

Kronika sztuk pięknych.

W Wenecyi u p. Achille Jenna znajduje się obraz szyty włóczkami na kanwie wystawiający *Zakonnika* z napisem u spodu: *P. Gregorius Stasiewicz Polonus. ord. minor. Missionarius Apostolicus in Anglia 1845.*

Ludwik Herkner młody rzeźbiarz warszawski wykończył popiersie zmarłego niedawno prof. Piwarskiego, który w ostatnich czasach kierował artystyczną częścią *Tygodnika ilustrowanego.*

Teofil Borkowski znany w naszym kraju dyrektor towarzystwa dramatycznego podrużującego, jest obecnie jak wiadomo dyrektorem teatru w Kijowie. Przedstawiają tam zarówno i opery, w których mają udział sami polscy artyści.

Instytut muzyczny, który powstaje właśnie w Warszawie pod dyrekcyą Apolinarego Kątskiego, doznaje w całej polskiej ziemi jak najsilniejszego poparcia. Składki bardzo znaczne poczyniono już na jego rzecz. Oprócz tego odbyły się w ciągu upłynionych dwóch miesięcy na korzyść tego zakładu koncerta w Kielcach, Włocławku, Lublinie, Radomiu, Kijowie, Mińsku, Suwałkach; *bale*: w Opatowie trzy, w Piotrkowie, Kaliszu, Łęczycy i Siedlcach; teatralne przedstawienie w Kijowie.

Dzienniki warszawskie oddają wielkie pochwały skrzypkowi p. Taborowskiemu, tak pod względem kompozycyi jak wykonania.

Panna Helena Zawiszanka spiewaczka stała się tej zimy ozdobą wszystkich muzykalnych produkcyi w Warszawie.

Pan Nikodem Biernacki bawił w ostatnich czasach w Żytomierzu, gdzie się cieszono na kilku koncertach jego.

Literaci zmarli w Lutym r. 1860.

Kamiński Julian Aleks. pisarz i archiwista Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich urodzony w r. 1805 w Tarnawce królestwie polskiem. Umarł 18. Lutego 1860 we Lwowie. Pisał on bardzo wiele, zacząwszy od r. 1829, w którym zasilał Rozmaitości i Czasopismo naukowe Zakładu. — Wydawał on pisma: *Śmieszek* (w czterech częściach) 1834, i kontynuował go r. 1848. W r. 1835 i 1837 wydawał *Ziemianina Galicyjskiego.* W r. 1848 *Przyjaciela Ludu.* W r. 1859—1860 wydał trzy zeszyty *Skarbca.* Oprócz tego ogłosił: Wiersz na zgon Siarczyńskiego w r. 1829. Modlitwy i rozmyślania pobożne 1832. Alfons i Julia, powieść 1834. Kochany braciszek, Zielone domino, komedye 1834. Poczet książąt i królów polskich 1835. Wiersz na zgon Wincentego Ziętkiewicza 1836. Pismiennictwo poskie rolniczo-technologiczne od r. 1549—1836. Wiersz do Adama Kłodzińskiego 1845. Wiersz na uwolnienie więźniów 1848. Materyały do monografii i historyi rodzin Kamieńskich i Kamińskich 1854 — 1856. Przegląd materyałów do monografii Kamińskich 1856. Kolęda na rok 1856. Nauka gorzelnictwa (z Gumbinera) 1858. Zamieścił kilka artykułów w niemieckiem pismie *Mnemosine* i w Rozprawach galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. Wiele rękopismów podarował w r. 1830 bibliotece Ossolińskich. Układał Dykcyonarz techniczny i powieść: Paweł Sapieha, dramat: Marya Mignot (z francuzkiego r. 1828). Żal na grobie, dramat (z niemieck.) Gramatyka francuzka r. 1828. Pisma prozą i wierszem od r. 1822 do 1830 w czterech tomach. Pierwiastki mojej muzy r. 1828. Bibliotekę do ukształcenia umysłu i serca z r. 1823—26 tomów ośm. Rozmaitości naukowo-literackie (2 T. około r. 1830). Wzór czytania książek (z Heinchena) r. 1830. O lasach w Galicyi (z Stögera). Rys jeografii podług Steina r. 1830. O czytaniu książek (z niemiec. 1830). Podróż w Karpaty (z Stögera). O klasztorze ś. Klary w Nowym Sączu (r. 1830). i tym podobne. — Oprócz tych licznych prac wydał on staraniem i nakładem swoim: Kazania i mowy Siarczyńskiego roku 1832. Elwira, powieść swej żony Julii Adeli Kamińskiej r. 1832. Pisemka Kazimierza J. Turowskiego 1835. Rywalka samej siebie, powieść Winc. Thulliego 1835. Te liczne prace podejmowane od lat trzydziestu, lubo nie zapewniły Kamińskiemu odszczególniającego się stanowiska w piśmiennictwie, świadczą jednakże, iż gorliwie uprawiał niwę i to podonczas, gdy w naszej prowincyi, niwa piśmiennictwa leżała odłogiem. Najwięcej prac jego przypada przed rokiem 1840. Monografie Kamińskich i bibliografia literatury rolniczej w Polsce, są pracami, które nieraz dla późniejszych badaczy pożyteczną rzucą wskazówkę.

Sieńkiewicz Karol z Kalinówki na Ukrainie, bibliotekarz w Paryżu, umarł 7. Lutego 1860. Był on bratem Jana Leona zmarłego 6. Września 1857 we wsi rodzinnej, tłumacza Rysu dziejów Fr. Rühsa i Dziewicy Jeziora Walter Skota. Wydawał on pisma czasowe: Skarbiec r. 1839—1842, które (lubo je Moraczewski potępił w Tygodn. liter. 1840), miało wartość naukową nie małą, przez ogłoszenie wielu ciekawych zabytków z przeszłości naszej. Wydawał on też kronikę w ośmiu tomach, od r. 1834—1839. Tłumaczył Odę na wzięcie Bomarsundu i t. d. (*J. J. J.*)

Rozmaite wiadomości.

Kw. Nowy potop zapowiedziany jest z największą pewnością i najuroczyściej w świecie. Nie prorocy straszą nim plemię ludzkie, ale astronomowie, geologowie, matematycy, słowem uczeni pp. Adhemar i le Hon. Obliczyli oni i objaśnili rachunek swój bardzo dokładnie że co 10.500 lat musi być potop na ziemi, raz na południowej, drugi raz na północnej półkuli, przez kolejne przelewanie się wód z jednej na drugą. Następujący potop będzie za 6300 lat, więc jest czas do budowania arki.

— W Warszawie weszło w zwyczaj grywanie teatrów amatorskich po domach prywatnych. Bardzo to powabny i godny osób wykształconych sposób spędzania wieczorów. W każdym niemal numerze dzienników warszawskich czytamy wiadomość o przedstawieniu w takich teatrach domowych sztuk doborowych i bardzo nieraz trudnych.

— Zakład rolniczo-przemysłowy Ostrowskiego i spółki w Warszawie wysłał na kontrakty Kijowskie machiny i narzędzia rolnicze z fabryki Dr. Cegielskiego w Poznaniu, które zakład wspomniony pierwszy do królestwa sprowadził i wielki ich skład od lat kilku utrzymuje. Czy u nas sprowadza kto narzędzia z fabryki Dra. Cegielskiego?...

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.